

# Powrót



RABINDRANATH TAGORE

GŁODNE KAMIENIE

## Powrót

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

Fatik Czakrawarti był hersztem szajki wiejskich bandytów. Nowe szelmostwo wpadło mu do głowy. W nadrzecznym mule leżał gruby, ciężki pień drzewa, czekając, aż go cieśle przemienią w maszt okrętowy. Fatik rozkazał swym oberwańcom wyteńczyć wszystkie siły, by pień ruszyć z miejsca i przetoczyć go gdzie indziej. Zamierzał w ten sposób zdziwić i doprowadzić do pasji właściciela pnia, a potem śmiać się z niego do rozpuku. Wszyscy poparli tę propozycję i zgodnie zabrali się do dzieła.

Ale właśnie w chwili gdy figiel miał zostać wprowadzony w czyn, zjawił się młodszy brat Fatika, Makhan. Nadszedł powoli, leniwym krokiem i bez słowa usiadł na pniu.

Chłopcy w pierwszej chwili oniemieli. Jeden z szajki trącił nieśmiało Makhana i kazał mu wstać. Ale przybysz ani drgnął. Wyglądał na młodego filozofa rozważającego nikomość wszelakich zabaw i figłów tego świata.

Fatik wpadł w wściekłość.

— Makhan! — wrzasnął. — Wstawaj natychmiast albo sprawię ci wały!

Makhan rozsiadł się jeszcze wygodniej. Każdy zrozumie, że Fatik winien był teraz, chcąc zachować wobec swego ludu powagę królewską, wykonać to, co zapowiedział. Ale w decydującym momencie zbrakło mu jakoś odwagi. Twórczy duch jego znalazł błyskawicznie wyjście z sytuacji i Fatik myślał uczynić coś, co musi sprowadzić zwycięstwo nad bratem, a jednocześnie dać bandzie wasalów tym większą jeszcze uciechę.

Rozkazał przetoczyć pień razem z Makhaniem, przewracając go oczywiście głową na dół, a Makhan, słysząc to zlecenie, uparł się i postanowił wytrwać na stanowisku. Nie przewidział jednak całego związanego z tym niebezpieczeństwa, jakie zawsze towarzyszy każdej ziemskiej sławie, na każdym polu.

Chłopcy rzucili się jak jeden mąż na pień, wołając:

— Raz... dwa... trzy... hura!

Drzewo drgnęło, ruszyło się z miejsca i potoczyło wraz z Makhaniem, jego filozofią, sławą i wszystkim.

Makhan przewalił się, spadł głową w muł, a banda ryczała z zachwytu. Fatik natomiast przestraszył się nieco. Wiedział, co teraz nastąpi. I w samej rzeczy, Makhan zerwał się z ziemi, ślepy niby los, wyjąc jak stado furii. Rzucił się na Fatika, podrapał mu twarz, obił go pięściami, obalił, skopał, a potem, płacząc w głos, pobiegł ku domowi.

Tak się skończył pierwszy akt dramatu.

Fatik otarł pokaleczoną twarz, usiadł na skraju zatopionej na poły łodzi nad rzeką i począł żuć w zębach zerwane źdźbło trawy. W tej chwili przybił statek i wysiadł zeń jakiś jegomość w średnim wieku, przyprószoney siwizną, o czarnych wąsach.

Ujrawszy malca próżniującego w przystani, zatrzymał się i spytał, gdzie znajduje się dom rodziny Czakrawartich.

Fatik żuł dalej źdźbło i odparł półgębkiem:

— Tam... niedaleko...

Ale nie sposób było domyślić się, w którą stronę wskazywał, gdyż nie uczynił najmniejszego ruchu. Przybysz spytał przeto ponownie. Fatik pokiwał z lekka jedną nogą i powiedział:

Kłótnia, Konflikt, Polityka

<sup>1</sup>sprawię ci wały (daw. pot.) — zbiję cię, spuszcze ci lanie. [przypis edytorski]

— Niech pan sobie szuka...

Potem żuł dalej trawę, nie racząc patrzeć na siwego pana.

Nagle zjawił się służący i zawiadomił Fatika, że matka go wzywa, by natychmiast wracał do domu. Fatik nie uznał za stosowne nakłonić się do tego żądania, ale służący był na razie panem sytuacji. Bez ceregieli porwał Fatika za kołnierz, podniósł do góry i powłókł mimo energicznego oporu, machania rękami i zapierania się piętami w piasku.

Przybywszy do domu, Fatik spostrzegł matkę. Krzyknęła nań ze złością:

— Znowu obileś Makhana!

Fatik odparł z oburzeniem:

— Nie obilem go wcale! Kto to powiedział?

Ale matka wrzasnęła.

— Nie łzyj! Obileś go!

Fatik rzekł stanowczo:

— Powtarzam, nie obilem go! Spytaj samego Makhana!

Ale Makhana uważał za stosowne powtórzyć swe pierwotne zeznanie i oświadczył:

— Tak, mammo! Obił mnie.

Tego było za wiele. Fatik nie mógł znieść niesprawiedliwości. Przyskoczył tedy do brata i zaczął go okładać, wołając:

— Masz, kłamco! Masz, donosicielu! Masz, zdrajco!

Matka opowiedziała się bez namysłu po stronie Makhana, chwyciła Fatika, odciągnęła go od brata i wlepiła mu ze swej strony kilka kuksów.

Fatik odepchnął ją, a matka krzyknęła:

— A to co? Więc ośmielasz się bić własną matkę?

Właśnie w tym krytycznym momencie zjawił się w progu domu szpakowaty, nieznany jegomość. Spytał, co się stało. Fatik uczuł wstyd i zapłonął się cały.

Matka cofnęła się ze zdziwieniem i nagle gniew jej przemienił się w radość wielką. Poznała w przybytku swego brata i zawołała:

— Dada! Kochany dada! Skądżeś się tu wziął?

Potem pochylała się do samej ziemi i dotknęła rękami kolan jego. Brat niedługo po ślubie siostry wyjechał do Bombaju i wziął się do interesów. Podczas gdy był nieobecny, umarł mąż, ojciec Fatika i Makhana. Brat wdowy, nazwiskiem Bisszambher, powrócił niedawno do Kalkuty i zaraz wybrał się w te strony, by się dowiedzieć, co słyhać z siostrą. Musiał jej dosyć długo szukać.

Nastaly dni radosne. Brat rozpytywał siostrę, jak wychowuje swych synów. Dowiedział się, że Fatik jest jej plagą. Leniwy, nieposłuszny, rozpasany, jest wprost przeciwieństwem Makhana, który uczy się doskonale, dobry jest i łagodny niby baranek. Bisszambher, chcąc ulżyć siostrze, obiecał jej, że weźmie Fatika i będzie go wychowywał w Kalkucie razem z własnymi dziećmi. Wdowa przyjęła propozycję z wielką radością, a gdy wuj spytał Fatika, czy chce z nim jechać do Kalkuty, chłopiec uczuł się wniebowziętym i odparł głosem drżącym z uniesienia:

— Bardzo chętnie!

Biedna matka nie wiedziała, jak ma dziękować. Była uprzedzona do syna, a braci nie łączył żaden węzeł miłości. Bała się ustawicznie o Makhana, codziennie drżała, iż go Fatik utopi w rzece, że mu rozmiążdży głowę uderzeniem pięści albo w ogóle zamorduje w jakiś sposób. Jednocześnie ogarnął ją jednak smutek, gdy zauważyła radość, z jaką Fatik przyjął zaproszenie wuja.

Gdy już wszystko było ułożone, Fatik zaczął wuja zasypywać pytaniami, kiedy pojedą. Przez cały dzień był wzburzony i nie mógł sypiać po nocach. Ustąpił raz na zawsze Makhanaowi swą sieć rybacką, latawca oraz świnki morskie. W ten czas nadchodzącej rozłąki hojność jego dla Makhana nie miała granic.

Po przybyciu do Kalkuty Fatik poznał swą ciotkę, której dotąd nie widział na oczy. Zaczynała nie była wcale uszczęśliwiona niespodzianym powiększeniem rodziny. Miała dosyć utrapienia z trzema własnymi synami i zgoła nie pożądała czwartego.

Poza tym ten wiejski wisus mógł fatalnie oddziaływać na jej dzieci. Natarła mężowi uszu, twierdząc, że popełnił ostatnie głupstwo.

Nie ulega wątpliwości, że nie ma nic chyba gorszego na tym padole płaczu jak czter-

Dziecko, Młodość,  
Męczyzna, Wychowanie

nastoletni chłopiec. To czysta plaga! Nie jest piękny, nie jest użyteczny, niepodobna go rozpieszczać jak malca, a zawsze wszystkim zawadza i złości ciągle każdego.

Jeśli mówi dziecinnie, zwie się go głuptakiem, gdy odpowiada jak dorosły, zasługuje oczywiście na miano przemądrzałego nicponia. Każde jego słowo staje się kamieniem obrazy, każdy ruch przedmiotem drwin. Chłopiec czternastoletni nie ma w sobie pociągającego. Wyrasta z szaleńczym wprost pośpiechem z ubrań, głos ma szorstki, załamujący się co chwila w jakiś pisk niemowlęcy, twarz jego staje się kwadratowa, brzydka. Można, zaprawdę, przebaczyć to i owo małemu dziecku, ale trudno, bardzo trudno usprawiedliwić nieuniknione nawet niedomagania czternastoletniego wyrostka.

Wyrostek taki jest ponadto arogancki i zarozumiały. Rozmawiając ze starszym, udaje dojrzałego, rozprawia, rezonuje, przeczy. Czasem napada go jakaś nieśmiałość, jakiejś głupkowate drżenie...

Dodajmy, że mimo wszystko jest to wiek, w którym chłopiec z głębi serca pożąda miłości, sympatii, uznania i stałby się bezwzględnie oddanym niewolnikiem każdego, kto by uszanował jego porywy i myśli. Ale nikt nie śmie okazać mu jawnie miłości, gdyż łagodność owa, owa czułościowość każdemu wydaje się niewłaściwa i szkodliwa.

Wśród połajanek i drwin, zawadzając każdemu, płacze się po świecie niby pies bezpański. I dlatego dla chłopca czternastoletniego jedynym miejscem pobytu na ziemi jest dom rodzicielski. Pobyt wśród obcych to wprost katusza, natomiast rajem, szczytem szczęśliwości staje się życzliwe spojrzenie kobiety i obejście z wyrostkiem wolne od pogardy i drwinek.

Fatik był w domu ciotki gościem nieproszonym, osobą zbyteczną. Znosił tortury wzgardy zadawane przez podstarzałą już kobietę i przeżywał codziennie upokorzenia. Ile razy poleciła mu coś załatwić, biegł wykonać, co chciała, i zawsze przesadził w zapale. Wówczas mówiła, że jest głupcem, nic nie potrafi, i odsyłała go do książek i zadań.

Zaniedbanie i moralny ucisk w domu ciotki gnębiły Fatika do tego stopnia, że nie śmiał oddychać. Czuł wielkie pożądanie wolnej, szerokiej przestrzeni, rad by był wybiegać się, nabrać w piersi powietrza. Ale nigdzie nie było rozłogów polnych. Otoczony ze wszech stron domami Kalkuty śnił jeno po nocach o dalekiej wsi ojczystej i tęsknił za powrotem do domu.

Z zachwytem myślał teraz o łące, gdzie po całych dniach puszczał latawca; zasłanych białym piaskiem brzegach rzeki, wzdłuż których wałęsał się do woli, śpiewając, krzycząc, ile dusza zapagnie; o samej rzece, w którą rzucał się i pływał o każdej porze dnia; o szajce wisusów, której przywodził niby udziałny król. A także myślał często z boleścią o tyrance matce swej, tak bardzo doń uprzedzonej, ścigającej go wyrzutami w dzień i w nocy.

Zbudziło się w chłopcu coś, co przypominało miłość zwierzęcia, fizyczną tęsknotę, pożądanie znalezienia się obok przedmiotu swego umiłowania, niewysłowioną rozterkę i niepokój wywołany oddaleniem, jakiś bezgłośny krzyk serca za matką... coś jak bek cielęcia o mroku.

Ów pęd nieokiełznany, podświadomy, ujawniał się straszonym wstrząśnieniem całego organizmu wątłego, nerwowego, niezdarnego, brzydkiego chłopięcia. Nikt tego nie dostrzegł, ale zło wżerało się ciągle, bez ustanku, i to coraz głębiej w jego ciało i duszę.

Nie było w całej szkole gorszego od Fatika ucznia. Gdy nauczyciel zadał mu pytanie, otwierał gębę i milczał. A gdy ciosy sypały się na jego plecy, cierpliwie czekał, aż ustaną.

Gdy inni chłopcy wybiegali na podwórze, by się pobawić, Fatik stawał zamyślony przy oknie i gapił się na dachy najodleglejszych domów. Dojrawszy na jakimś płaskim dachu igrające dzieci, uśmiechał się do nich i czuł dotkliwy ból w sercu.

Pewnego dnia zebrał całą odwagę i spytał:

— Wujaszku! Kiedy będę mógł wrócić do domu?

— Aż nadejdą wakacje! — odparł wuj.

Ale wakacje rozpoczynały się dopiero w listopadzie, tedy całe jeszcze długie miesiące trzeba było czekać na nie.

Pewnego dnia zgubił Fatik książkę szkolną. Nawet przy pomocy książek nie mógł sobie dać rady z zadaniami. Teraz pozbawiony tej pomocy stanął wobec ostatecznej katastrofy. Nauczyciel bił go codziennie niemilosierdzie. Popadł w stan takiego upadku, że nawet bracia wujeczni wstydzieli się z nim zadawać i nie przyznawali się doń, natomiast

prześcigali w drwinach, docinkach i kulakach, spadających na głowę Fatika, wszystkich współuczniów. Na koniec, nie mogąc wytrzymać, poszedł do ciotki i przyznał się, że zgubił książkę.

Ciotka ściągnęła pogardliwie usta i rzekła:

— Ty urwipolciu wiejski! Czyż sądzisz, że przy ogromnych wydatkach na utrzymanie twoje i mojej rodziny mogę ci dziesięć razy w miesiącu sprawiać nowe książki?

Tegoż dnia, wracając ze szkoły, uczył Fatik silny ból głowy i dreszcze. Wiedział, że to niezawodnie malaria, i opanował go przestach na myśl, iż stanie się ciężarem ciotce. W wyobraźni ujrzał przeróżne sceny, jakie nastąpią, i powziął postanowienie.

Nazajutrz okazało się, że Fatik znikł jak kamfora. Szukano go w sąsiedztwie, ale bez skutku. Deszcz lał strumieniami całą noc, a ci, którzy szukali chłopca, wrócili przemokli do nitki. Bisszambher zawezwał policję.

Pod wieczór zatrzymała się pod mieszkaniem Bisszambhera kryta karetka policyjna. Deszcz padał ciągle, a na ulicach stała woda, nie mogąc pomieścić się w kanałach i spustach. Z karetki wysiedli dwaj policjanci, wynieśli Fatika i oddali go wujowi. Chłopiec był mokry od stóp do głów i pokryty błotem. Twarz jego była prawie czarna, powieki nabrzmiałe i czerwone od zapalenia, a całe ciało drgało spazmatycznie. Bisszambher wziął Fatika w ramiona i zaniósł go na łóżko. Ciotka, spojrzawszy na chorego, zawołała:

— O, ileż troski, ile kłopotu sprawia nam ten nicpoń! Czyż nie lepiej by było odesłać go do domu?

Fatik usłyszał te słowa, wybuchnął głośnym płaczem i zawołał:

— Wuju! Właśnie siedłem sam do domu, ale policja pochwyciła mnie i przywiozła z powrotem!

Gorączka wzmogła się bardzo i przez całą noc Fatik majaczył bezprzytomnie. Bisszambher wezwał lekarza. Fatik rozwarł płonące gorączką oczy i spytał:

— Wujaszku! Czy to już wakacje? Czy mogę jechać do domu?

Pytał drżącym głosem, patrząc w sufit, a Bisszambher ocierał oczy z łez. Potem ujął rozpalone ręce chłopca w swe dłonie i całą noc spędził u jego łóżka.

Chłopiec mamrotał coś niewyraźnie. Nagle koło północy zawołał błagalnie:

— Matko! Nie bij! Mówię szczerą prawdę!

Nazajutrz Fatik odzyskał na chwilę przytomność. Rozejrzał się po pokoju, jakby kogoś szukał, i wreszcie z wyrazem rozczarowania opuścił głowę na poduszkę. Obrócił się do ściany i jął wdychać żałośliwie.

Bisszambher zrozumiał, o czym myśli, i pochylając się nad chłopcem, wyszeptał:

— Fatiku, posłuchaj... wezwałem matkę, by natychmiast przyjeżdżała!

Minął dzień. Lekarz oświadczył z poważną miną, iż stan chłopca jest bardzo groźny.

Fatik wołał od czasu do czasu:

— Dobra...! Cztery węzły! Dobra... pięć węzłów... dalej!

Słyszał razu pewnego okrzyki marynarzy sondujących dno rzeki i oto teraz mierzył i sam niezgłębioną toń jakiegoś morza...

Późnym wieczorem wpadła do pokoju matka Fatika i poczęła płakać, zawodzić i wydawać głośnie okrzyki.

Bisszambher chciał ją uspokoić, ale biedna kobieta rzuciła się na łóżko syna, wołając:

— Fatiku... drogie dziecko moje! Fatiku kochany...

Ręce Fatika, szarpiące ciągle kołdrę, uspokoiły się na chwilę. Spojrzał w sufit i powiedział:

— Już nadeszły!

Matka zawołała znowu:

— Fatiku! Fatiku!

Chłopiec zwrócił z wolna w jej stronę głowę i, nie widząc nic, nie patrząc na nikogo, powiedział:

— Mamo! Wakacje... wakacje nadeszły!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tagore-powrot>

Tekst opracowany na podstawie: Rabindranath Tagore, Głodne kamienie i inne opowiadania, tłum. Jerzy Bandrowski, Franciszek Mirandola, Czytelnik, Warszawa 1961.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dagmara Deska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.